

# informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 235

listopad oraz 4-7  
i 13 grudnia 2008



## ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKOWCA

Podczas listopadowej delegacji na bajkowo piękną lubelską Starówkę wypatrzyłem na pasku hotelowego telewizora smutną wiadomość: w wieku 66 lat zmarł Michael Crichton, reżyser i pisarz.

Do dziś pamiętam suspens przeżyty w kinie, jeszcze za licealnych czasów, na jego „Comie” (nie zakonotowałem zresztą wtedy nazwiska reżysera); jednak największą popularność przyniósł mu nie własny dorobek filmowy (całkiem solidny zresztą) – ale adaptacja jednej z licznych jego powieści dokonana przez innego reżysera. Myślę oczywiście o „Parku Jurajskim”.

Na fali fascynacji filmem Spielberga – również powieść Crichtona otwierała kilkanaście lat temu listy bestsellerów. Podejrzewam jednak, iż mieliśmy tu do czynienia z rzeczywistym „owczym pędem” i że w przypadku większości nabywców naprawdę zadziałały trzy prawa Lema („Nikt nic nie czyta. A jeśli nawet przeczytał – to nie zrozumiał. Jeżeli jakimś cudem zrozumiał – to na pewno zapomni”). A szkoda, gdyż ta powieść jest po prostu znakomita, pod wieloma względami!

W tym czasie w GKF-ie funkcjonowała, stworzona i moderowana przez Bazyla, Sekcja Inteligentnej (czy też Intelktualnej, nie pamiętam już dokładnie) Dyskusji. Jednym z tematów był oczywiście „Park Jurajski”. Przyszedłem do Klubu tuż po obejrzeniu filmu, ale książki jeszcze nie czytałem. I byłem szczerze zaskoczony faktem, że dyskutanci jeżdżą po Spielbergu jak po łysej kobyli: przecież ten film to kawał naprawdę znakomitego kina rozrywkowego.

I owszem. Ale, gdy wracając z „Macusia”, nabyłem powieść Crichtona w przejściu pod peronem, zrozumiałem, iż jest ona zupełnie inna od hollywoodzkiego hitu. Inna w wymowie, przesłaniu, rozłożeniu akcentów. Bliska klasycznej fantastyce stawiającej zasadnicze pytania – co do dziś fascynuje chociażby w dziełach Herberta George’a Wellsa.

Jest to sfabularyzowany traktat o odpowiedzialności naukowca. Główny dyskurs prowadzi tu matematyk – będący głosem nawet nie tyle uczonego, co mędrca (w filmie został on niestety totalnie strywializowany, sprowadzony do poziomu sympatycznego bawidamka wygłaszającego zabawne paradoksy). Do dziś pamiętam jego ocenę młodego genetyka, najwybitniejszego naukowca zatrudnionego w Parku. Matematyk nie podzielał zachwytów nad jego geniuszem. Stwierdził wręcz, że ów ambitny Azjata nie zasługuje nawet na miano człowieka mądrego. Mądrość bowiem – to odpowiedzialność za swoje czyny, umiejętność przewidywania konsekwencji, refleksja nad posiadaną władzą. Genetyk zaś jest rzeczywiście bardzo utalentowany i wykształcony – ale poza tym można określić go mianem głupca, gdyż brak w nim jakiegokolwiek samooceny. Dodał też, iż dziś zbyt łatwo mamy możliwość dysponować potęgą wiedzy i technologii. Dawniej, nim uczeń miał prawo dotknąć narzędzia mistrza, był bity po łapach – ale to pozwalało dojrzeć emocjonalnie do przyszłego fachu.

Czyż takie podejście do nauki nie przywodzi na myśl, zdobywającego kolejne stopnie wtajemniczenia, młodego Geda z „Czarnoksiężnika z Archipelagu” Ursuli K. Le Guin?

Jednocześnie powieść Crichtona nie jest przy tym wszystkim wcale nudna. Powiem więcej: dzieje się znacznie więcej niż w filmie. Pewnych rzeczy Spielberg sfilmować wtedy nie był w stanie (np. atak pterodaktyli); ale nie wykorzystał też kilku bardzo filmowych scen (gdy np. matematyk wydaje systemowi polecenie, by policzył wszystkie raptory na wyspie).

W filmie zmienione nieco są też inne postacie i ich relacje (milioner, dzieci, paleontolog, asystentka) – ale tu już łatwiej można zaakceptować wizję reżysera. Nie można mu też odmówić kilku świetnych sekwencji, będących wyraźnie jego pomysłem.

Drugiego tomu „Parku Jurajskiego” już jednak nie kupiłem. Wskreszenie matematyka (umiera na gangrenę pod koniec pierwszej powieści) zbyt pachniało mi już pospolitą komercją i ciągnięciem na siłę zakończonego już dyskursu.

# WALNE ZEBRANIE

## SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZE GKF

### 13 grudnia 2008 r.

Delegaci na Walne Zebranie GKF w głosowaniu tajnym wybrali Prezydium Zarządu:

Prezes - Tomasz Hoga

I wiceprezes - Marta Witkowska

II wiceprezes - Michał Szklarski

Prezydium mianowało pozostałych członków Zarządu:

Skarbnik - Bogusław Gwozdecki

Sekretarz - Marcin Szklarski

Członek Zarządu - Maciej Dawidowicz

Delegaci w głosowaniu tajnym wybrali skład Komisji Rewizyjnej:

Ewa Krasowska

Artur Łukasiewicz

Krzysztof Papierkowski

Komisja Rewizyjna ustaliła, że przewodniczącym będzie Krzysztof Papierkowski

Nowoutworzony Zarząd, na swoim pierwszym posiedzeniu, mianował nowych lub zatwierdził dotychczasowych szefów Działów i prezesa KCZK:

Anna Papierkowska pozostała prezesem Klubu Członków Korespondentów

Janusz Piszczek pozostał szefem Działu Kolportażu

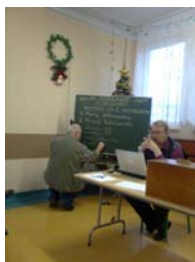
Maciej Dawidowicz mianowany został szefem Działu Bibliotecznego

Jan Plata-Przechlewski mianowany został szefem Działu Bibliotecznego

Michał Stawski pozostał szefem Działu Gier Strategicznych

Adam Lewandowski pozostał szefem Działu Gier Planszowych i Karcianych

Wojciech Ingielewicz czasowo pozostał szefem Działu Gier Fabularnych





# MIGAWKI



Foka, Foka, jak nam Ciebie żal...



Na razie im wesoło...



Palenie zabija!



Z kim ona się zadaje?!!!



Mordy Wy moje!



I czemu się Bazyl chichrasz?



Zombie  
smutny



Zombie wesoly = Δ



Sapek! Nie śpij!



Czy te oczy mogą kłamać?



Wskrzeszanie Mikszy

W pajęczynie  
miłości



Mała przekąska  
przed obiadem



# URODZINY I ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNO-NOWOROCZNE

Styczniowym Urodzeńcom  
upiorne życzenia ponordconowskie  
(cobyście za dużo nie ssali w Sylwestra)  
zaś wszystkim pozostałym Członkom GKF  
i Czytelnikom „Informatora”  
najlepsze życzenia świąteczno-noworoczne  
(i upojnego ssania do upadłego)

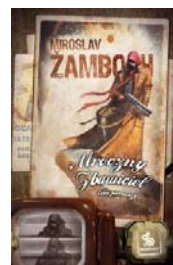
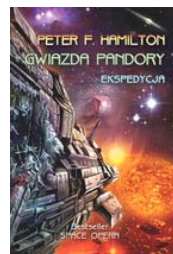
składa Redakcja INFO

- |                               |                     |
|-------------------------------|---------------------|
| 2 Adam Cetnerowski            | 16 Radosław Łagan   |
| 6 Bohdan Kałużny              | 18 Paweł Kruciński  |
| Witold Siekierzyński          | 21 Konrad Klepacki  |
| 8 Agnieszka Bohosiewicz       | Jarosław Piotrowski |
| 10 Mirosław Malak             | 25 Szymon Dudzik    |
| Jan Plata-Przechlewski 50-ka! | Helena Strokowska   |
| 12 Maciej Cetnerowski         | 26 Eugeniusz Dębski |
| 15 Waldemar Igielski          |                     |



# NABYTKI BIBLIOTEKI GKF sierpień - listopad 2008 r.

Aldiss Brian W.	Wiosna Helikonii
Antologia	Zachowuj się jak porządny trup
Antologia	Nowe idzie
Antologia	Epidemie i zarazy
Antologia	Kanon barbarzyńców
Briggs Patricia	Zew Księżycy
Campbell Jack	Zaginiona flota: Nieustraszony
Dębski Eugeniusz	Tamta strona świata
Erikson Steven	Męty Końca Śmiechu
Farmer Jose Philip	Mroczny wzór
Gaiman Neil	Księga Cmentarna
Gorelikowa Ała	Korund i salamandra
Hamilton Laurell K.	Kafejka u lunatyków
Hamilton Peter F.	Gwiazda Pandory: Ekspedycja
Harris Charlene	Grobowy zmysł
Herbert Brian, Anderson J. Kevin	Diuna. Kruczata przeciw maszynom
Herbert Frank	Mesjasz Diuny
Hines Jim. C.	Droga goblina
Huff Tanya	Ślad krwi
Izmałowa Kira	Wyższa magia
Jabłoński Witold	Fryne: Hetera
King Stephen	Ręka mistrza
King Stephen	Ostatni bastion Barta Dawesa
Kosik Rafał	Kameleon
Kossakowska Maja Lidia	Żarna Niebios
Krzywicki Michał	Plagi tej Ziemi
Malinowska Elena	Taniec nad przepaścią
McMullen Sean	Próżniowędrowiec
Morgan Richard	Trzynastka
Novik Naomi	Imperium Kości Słoniowej
Panow Wadim	Wojny prowokują nieudacznicy
Piekara Jacek	Płomień i krzyż t.1
Piekara Jacek	Alicja i ciemny las
Pilipiuk Andrzej	Oko jelenia. Drewniana twierdza
Piskorski Krzysztof	Zadra t. 1
Pratchett Terry	Piekło pocztowe
Przybyłek Marcin	Gadamec: Zabaweczki. Błyski
Redick Robert V. S.	Sprzysiężenie Czerwonego Wilka
Rothfuss Patrick	Kroniki królobójcy: Imię wiatru
Sadow Siergiej	Rzecz o zbłąkanej duszy t.1 i 2
Sawyer Robert J.	Hybrydy
Sedia Ekaterina	Tajemna historia Moskwy
Simmons Dan	Upadek Hyperiona
Stephenson Neal	Ustrój świata t.3
Troisi Licia	Wojna Świata Wynaturzonego. Sekta Zabójców
Ugrumowie Wiktoria i Oleg	Mekromeron
Watts Peter	Ślepowidzenie
White James	Szlifierzy umysłów
White T. H.	Rycerz z pod ciemnej gwiazdy
Whitton Steve	Sacred: Anielska krew
Wojtowicz Milena	Wrota 2
Żamboch Miroslav	Mroczny zbawiciel t. 1



# NIUSY

## WYPATRZYLIŚMY PIERWSZE PLANETY POZAUKLADOWE!

Od 1991 roku znamy już ponad 300 planet spoza Układu Słonecznego. Jednak nie zostały one zaobserwowane bezpośrednio – a jedynie jako zakłócenia grawitacji lub blasku macierzystych gwiazd. To się jednak zmieniło. Dzięki teleskopowi Hubble'a, umieszczonemu na orbicie, udało się sfotografować planetę krążącą wokół gwiazdy Fomalhaut (25 lat świetlnych od Ziemi), zaś dzięki teleskopom Keck i Gemini, posadowionym na szczycie hawajskiego wulkanu, sfotografowano trzy planety krążące wokół gwiazdy HR 8799 (130 lat świetlnych). Wszystkie te planety są wielkości Jowisza lub kilkakrotnie go przerastają.

*jpp*



## ZMARŁ JANUSZ CHRISTA

15 listopada odszedł jeden z najwybitniejszych i najbardziej znanych polskich twórców komiksowych. Obszerniejsze wspomnienie o Artyście opublikujemy w następnym numerze „Informatora”.

*jpp*

## NAJGORSZE FILMY ŚWIATA

Tak zatytułowany przegląd miał miejsce od 14 do 16 listopada w gdańskim Domu Harcerza; można zaś było obejrzeć następujące obrazy: „Sex Maniac”, „Zabójcze ryjówki”, „Szpon”, „Plan 9 z kosmosu”, „Doctor of Doom”, „Black Samurai”, „Gamera contra Giron”, „Tureckie Gwiezdne Wojny”.

*jpp*

## „PIŁA” – PODWÓJNĄ TRYLOGIĄ?

Na 23 października przyszłego 2009 r. Lionsgate wyznaczyło datę premiery szóstej części filmowej „Piły”. Scenariusz filmu piszą właśnie Marcus Dunstan i Patrick Melton, zaś wyreżyseruje go dotychczasowy montażysta serii Kevin Greutert.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## KOMIKS WŚRÓD OBRAZÓW

W dniu 14 listopada br. odbył się w WCK poplenerowy wernisaż prac plastyków związanych z tamtejszym oddziałem Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Impreza wpisująca się w, ogłoszony przez władze samorządowe i dobiegający już końca, Rok Kalwarii Wejherowskiej.

Między barwnymi olejami i gwaszami przedstawiającymi kalwaryjskie zakątki i odnowione za unijne fundusze kapliczki znalazł się też czteropłanszowy komiks o historycznej genezie miasta i kalwarii. Jego autorem jest jeden z tamtejszych rysowników komiksowych – Tomasz Mering.

Wcześniej wszystkie te prace wystawione były w Słupsku.



*jpp*



## POWRÓT DO „MIKROPOLIS”

W grudniu Egmont wznowią „Przewodnik turystyczny” – pierwszy tom serii „Mikropolis” Dennisa Wojdy i Krzysztofa Gawronkiewicza (wydany pierwotnie przez Siedmioróg w 2001 roku). Nowa wersja albumu będzie zawierała dodatkowe paski komiksowe, publikowane wcześniej w magazynach „Ekstrem” i „The Cut” pod tytułem „Notatki z Mikropolis” oraz nowy wywiad z Odkrywcami. Dennis Wojda całkowicie przeprojektował wygląd „Przewodnika” – z nową okładką włącznie. Wszystkie paski zostały ponownie zeskanowane i wyretuszowane, a dymki przeszły gruntowną korektę. W styczniu lub lutym ma pojawić się reedycja drugiego tomu serii, zatytułowanego „Moherowe sny”. Szczegółowe informacje na ten temat poznamy pod koniec roku. Na razie wiadomo jedynie, że również ten album zostanie poszerzony o nowy materiał. W związku z reedycją wrócił temat zapowiedzianej przed laty trzeciej części cyklu, zatytułowanej „Terra incognita”. Scenarzysta zapewnił, że komiks ten wreszcie zostanie dokończony i wydany; nie wiadomo jednak, kiedy to nastąpi.



wg: [www.wrak.pl](http://www.wrak.pl)

## LOTR WYSOKIEJ JAKOŚCI

Nie lada gratka dla fanów Tolkiena szykuje londyński Royal Albert Hall. Przez dwa wieczory 14 i 15 kwietnia 2009 roku będzie pokazana Drużyna Pierścienia w rozdzielczości High Definition, z muzyką graną na żywo przez London Symphony Orchestra. Bilety od 27.50 do 50 funtów.

Mariusz Czach

## REWOLUCYJNY PRZESZCZEP

Hiszpańscy lekarze wykonali pierwszy udany przeszczep organu wyhodowanego w całości z komórek macierzystych pacjenta. Według części naukowców – może to oznaczać rewolucyjne zmiany w transplantologii już w ciągu najbliższych lat.

[www.onet.pl](http://www.onet.pl)



## ZMARŁ JAN MACHULSKI

Po urokliwym oszuście z amerykańskiego „Żądła” – odszedł także urokliwy kasiarz z polskiego „Vabanku”; ale przede wszystkim – znakomity aktor teatralny i filmowy oraz zasłużony pedagog.

jpp

## WYLECZONY Z AIDS?

Lekarze z Berlina donoszą, że wyleczyli pewnego mężczyznę z AIDS – przeszczepiając mu komórki macierzyste krwi od osoby naturalnie odpornej na wirusa. Jednak przypadek ten, choć stanowi niewątpliwą nowinkę medyczną, według ekspertów będzie miał niewielkie bezpośrednie przełożenie na leczenie AIDS. Czołowi amerykańscy badacze twierdzą, że zastosowanie tego sposobu leczenia jest nie do pomyślenia wśród milionów osób zakażonych w Afryce oraz niepraktyczne nawet dla ubezpieczonych pacjentów czołowych szpitali prowadzących badania naukowe.

[www.onet.pl](http://www.onet.pl)

## PONAD WSZELKĄ WĄTPLIWOŚĆ

Znalezione we Fromborku szczątki należą do Mikołaja Kopernika. Udało się to ustalić dzięki księdze, która przez lata była w posiadaniu astronoma – dowiedziała się TVP Info. Naukowcy porównali materiał genetyczny znajdujący się w książce ze szczątkami i uzyskali pozytywny efekt.

wg: [www.wp.pl](http://www.wp.pl)

## NOWA KOLEKCJA KOMIKSÓW

Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu tworzy kolejną w Polsce systematycznie gromadzoną kolekcję komiksów. Tytuły – przede wszystkim polskie, ale i ważniejsze zagraniczne – są gromadzone według zasad przygotowanych przez zespół bibliotekarzy. Komiksy oraz literatura naukowa dotycząca tej coraz intensywniej rozwijającej się dziedziny kultury są opracowywane i udostępniane czytelnikom biblioteki. Kolekcja dostępna będzie wyłącznie na miejscu, w Czytelnicy Zbiorów Specjalnych.

wg.: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## ILUSTRATORZY I TROLLE

W dniach 26-28 listopada odbywały się w Gdańsku 3. Bałtyckie Spotkania Ilustratorów zorganizowane przez Nadbałtyckie Centrum Kultury. W programie znalazły się wystawy i odczyty – a nawet koncert muzyczny. Tematem przewodnim byli bohaterowie mitologii skandynawskich. Ale oprócz prelegentów z północy mówiących o gnomach i trollach – nasi rodzimi prelegenci mówili o krasnoludkach (tych z Konopnickiej) i o stołmach (kaszubskich olbrzymach).

jpp

## KO(S)MICZNA ZGUBA

Torba z narzędziami, rozmiarów walizki, wymknęła się z rąk astronautki Heidemarie Stefanyshyn-Piper, gdy ta reperowała przegub skrzydła baterii słonecznych stacji kosmicznej. Stefanyshyn-Piper i jej kolega Stephen Bowen zaliczyli wtedy dopiero połowę spaceru w przestrzeni, pierwszego z czterech planowanych podczas tej misji. Torba z narzędziami jest jednym z największych obiektów, jaki astronautom udało się zgubić w kosmosie.

wg: [www.pl.pl](http://www.pl.pl)



## Z ELM STREET NA DVD

W polskich sklepach pojawią się lada dzień płytki z siedmioma częściami „Koszmaru z ulicy Wiązów” (aż po „Nowy koszmar Wesa Cravena” włącznie).

jpp

## „WOJNY KLONÓW” NA PŁYTKACH

W przyszłym roku w naszych sklepach zagoszczą animowane „Wojny klonów” w formatach DVD i Blue-ray. Obie wersje składać się będą z jednej płytki. Wzbogacone za to zostaną o materiały dodatkowe – przy czym wersja Blu-ray będzie zdecydowanie bogatsza.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## CHRISTA BOHATEREM DZIEWIĄTYCH „ZK”

Redakcja „Zeszytów Komiksowych” zdecydowała, że (wbrew wcześniejszym planom) zmieni temat przewodni 9. numeru magazynu – i poświęci go sylwetce zmarłego niedawno Janusza Christy.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)



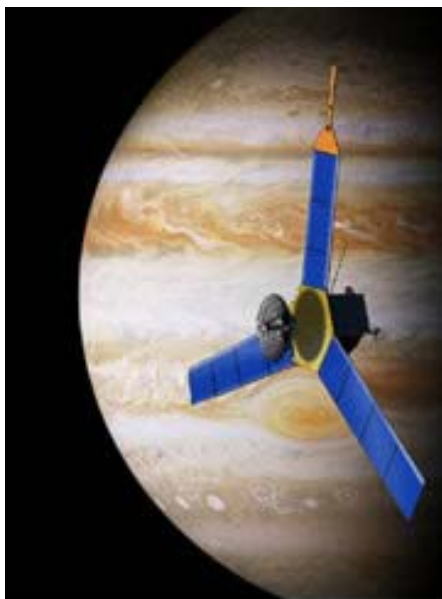
## ARAGORN W POLSCE

Jednym z gości tegorocznego festiwalu filmowego Camerimage (29 listopada - 6 grudnia) był Vigo Mortensen.

jpp

## 2011: ODYSEJA KOSMICZNA

Nowa misja NASA – Juno – będzie pierwszą, podczas której pojazd kosmiczny zostanie umieszczony na silnie eliptycznej polarnej orbicie wokół największej planety Układu Słonecznego. Celem misji będzie lepsze zrozumienie ewolucji i struktury Jowisza. Wykonane zostaną pomiary ilości wody i amoniaku w atmosferze planety, badania polarnej magnetosfery, konwekcji w atmosferze – a także zbadanie, czy w centrum gazowego olbrzyma kryje się kamiennolodowe jądro. Pojazd wyniesiony zostanie z przylądka Canaveral w sierpniu 2011 roku na pokładzie rakiety Atlas, aby osiągnąć orbitę Jowisza w 2016 roku i wykonać wokół niej 32 pełne okrążenia. Wart uwagi jest również fakt, że pojazd wykorzystany w misji Juno będzie pierwszym zaprojektowanym tak, iż mimo dużej odległości od Słońca będzie w pełni zasilany jego energią.



wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## WWW.GKF.ART.PL

Wszystkich Czytelników „Informatora” serdecznie i nieustająco zapraszamy – w imieniu Adminów – do częstego odwiedzania strony internetowej Gdańskiego Klubu Fantastyki. Szczególniej uważamy polecamy klubowe niusy oraz forum dyskusyjne. Są to bowiem rubryki, które (z natury rzeczy) mają rację bytu właśnie w interaktywnym medium umieszczonym w Sieci – a nie w, mówiącym o wydarzeniach minionego miesiąca, drukowanym periodyku. Przypominamy jednocześnie, że na wspomnianej stronie internetowej jest też dostępny „Informator” w formie plików PDF.

red.

Jacek Durski  
*Wiersze*  
 Warszawa 2004  
 Wydawnictwo Nowy Świat



# TRYPTYK

Czym jest tomik Jacka Durskiego, zatytułowany w sposób tyleż skromny, co niewiele mówiący: *Wiersze*? Dodajmy, iż owa skromność tytułu wprowadza niezamierzenie w błąd. Pomyłką jest bowiem mniemanie, iż ascetyzmowi tytułu towarzyszy równie skromne wnętrze. Tym bowiem, co wręcz poraża bogactwem, jest graficzna oprawa utworów. Wprawdzie wydawca zdaje się sugerować taką możliwość, podając w notce biograficznej osiągnięcia Durskiego jako nie tylko pisarza, lecz również malarza, rzeźbiarza i grafika, jednak czytelnik potrzebuje dłuższej chwili, by oswoić się z zaproponowaną przez autora metodą lektury. A jest to sposób czytania o tyle szczególny, że ilustracje *de facto* nie stanowią semantycznie pustej ornamentyki (w tym sensie, że grafiki towarzyszące wierszom można byłoby zastąpić innymi, w sposób obojętny dla odczytania utworów), lecz – w odczuciu piszącego te słowa – integralny element tekstu. I to nie tylko wtedy, gdy słowo zostaje niejako wpisane w element graficzny, jak w przypadku *Puk*, bądź \*\*\* *Zamiast męża ofiarny wół* – warto w tym miejscu przywołać choćby \*\*\* *Tak dużo zmarłych we mnie*. Niekiedy jednak odbiorca kuszony bywa (inna sprawa, czy celowo?) możliwością nadmiernego uproszczenia odczytania utworu przez pryzmat wpisanych weń elementów graficznych – zwłaszcza w przypadku \*\*\* *Jaruzel jeszcze żyje* traktowanie brył geometrycznych jako swoistego zsyphu to uproszczenie zbyt daleko idące, zafalszowujące interpretację.

Pomijając jednak owe przypadki wodzenia na manowce uproszczeń, zadziwia (choć nie powinna, biorąc pod uwagę, iż autor *Wierszy* jest artystą nie tylko słowa) łatwość Durskiego komponowania wiersza tak, by towarzyszący mu element graficzny „czytać” integralnie z zapisem tekstowym. Przypomina to nieco lekturę „poezji konkretnej”, jednak autor *Wierszy* nie poprzestaje na powielaniu wzorców. Sposób lektury zaproponowany przez Durskiego pozwala na syntezę słowa (tu w znaczeniu – dźwięku) i obrazu. Jednakże, o czym często zdajemy się zapominać, słowo zapisane również nabiera cech obrazu: staje się liniowym odwzorowaniem dźwięku, jego symbolem graficznym. Może więc Durski, komponując swoisty „dialog” dźwięku i obrazu, słowa i grafiki, uzmysławia „dwujęzyczność” tekstu wiersza. Tworzy dyskurs, wykorzystujący różne języki, by w różny sposób mówić o tym samym... Czytelnik, gdy uzmysłowi sobie, iż odwzorowany w czcionce dźwięk staje się również swoistym obrazem (choć trzeba przyznać, że symbolicznym), może zauważyć, że element graficzny „przemawia” do niego równie silnie, co towarzyszące mu słowo. Spostrzeżenie to nabiera szczególnego znaczenia w dobie święcącej triumfy kultury ikonicznej, w której uczestnictwo wymaga umiejętności posługiwania się różnymi językami komunikatów – w tym wizualnym.

A jednak błędem byłoby mniemanie, iż decyzja autora *Wierszy*, by wprowadzić w obręb wiersza (powtórzmy, jako integralną jego część, nie zaś ornament) elementy

graficzne, podyktowana była względami merkantylnymi (tj. przeświadczeniem, że sukces artystyczny budowany jest na komercyjnym, ten zaś zależy od potencjalnego nabywcy). Świadczy o tym wybór tradycyjnej (i może dlatego tak dziś „niepopularnej” wśród młodych piewców relatywizmu) – zwłaszcza dla sztuki sakralnej – formy tryptyku. Trzeba jednak zaznaczyć, iż jest to tryptyk szczególny – moglibyśmy rzec: niedoskonały w sposób zamierzony. Dobitnie uzmysławiają to motta do poszczególnych części z ich zachwianiem porządku czasowego. Oto bowiem gramatyczna terażniejszość dedykacji części I poprzedza przeszłość sygnalizowaną w motcie do części II. Owa swoista achronologia wydaje się jednak zamierzonym elementem kompozycyjnym tomiku, traktowanego jako cykl poetycki. Rozpoznanie i określenie kondycji współczesności podmiotu lirycznego pozwala mu na ustosunkowanie się do czasu minionego i przyszłości, tworząc sygnalizowaną uprzednio kompozycję tryptyku.

Ową jedność tomu podkreślają przewijające się przez karty wielokrotnie podejmowane rozważania: sporowi ze Złem – pojmowanym metafizycznie – towarzyszy niezgoda na zło wyrządzone tu i teraz, dla którego podmiot nie znajduje usprawiedliwienia mechanizmami historii. To zapewne najbardziej osobisty i najboleśniejszy wątek, może dlatego że historia pojmowana jest tu zawsze jednostkowo, z subiektywnego punktu widzenia. Zapewne dlatego tak trudno zdobyć się tu autorowi na dystans niezbędny do tego, by poetycka wizja nie zmieniła się w wersowaną publicystykę. Nie zawsze się to Durskiemu udaje, o czym świadczy wiersz \*\*\* *Jaruzel jeszcze żyje* – najbardziej osobisty, a zarazem najbardziej chybiony artystycznie utwór w tomie.

Walcząc z demonami historii i własnego strachu przed rozpadem, nie godząc się na Boga i zło, pozostaje autor *Wierszy wierny nadziei*, że – jak pisze w motcie do części III, dedykowanym sobie – *będzie dobry* (s. 43), by w ostatnim wersie cyklu stwierdzić: *Znowu jestem Aniołem* (s. 59). Skoro zaś „znowu”, to cała historia zwady z ostatecznościami Boga, zła, historii, śmierci, itd., nabiera cech drogi, którą trzeba przejść, by odnaleźć siebie – od odrzucenia i utraty, po anielska doskonałość.

Adam Mazurkiewicz



# Jeszcze nie wieczer - czyli gry z bogami Runda pierwsza

(Elena Malinowska „Taniec nad przepaścią”, Fabryka Słów 2008)

W języku rosyjskim od jakiegoś czasu funkcjonuje pojęcie „akceleratorów”, charakteryzujące młodych ludzi nowego pokolenia, rozwijających się niezwykle szybko i wcześniej osiągających sukcesy. Taką akceleratką na niwie pisarstwa jest niewątpliwie Elena Malinowska (choć ja osobiście wolę wersję: Jelena Malinowskaja – zresztą może wtedy jej książka nie trafiłaby omyłkowo na empikową półkę przeznaczoną dla polskich autorów). Dwudziestopięcioletnia obecnie autorka pierwsze opowiadanie opublikowała w wieku lat osiemnastu, a obecnie ma już w swoim dorobku dwa zbiory opowiadań i sześć wydanych powieści, kolejne zaś cały czas powstają, o czym pisarka sumiennie informuje czytelników swojego bloga.

Malinowska zdaje się preferować cykle powieściowe – wspomniane sześć powieści wchodzi w skład czterech cykli, wszystkich na chwilę obecną niedokończonych. „Taniec nad przepaścią” otwiera cykl „Gry z Bogami”, którego kontynuację stanowi wydany w Rosji w 2008 roku „Bezimienny Bóg”, zaś trzecia (i podobno ostatnia) część „Koniec gry” dopiero powstaje. Według zapowiedzi Autorki będzie bardziej dynamiczna niż dwie poprzednie, zaś „bohaterowie pozytywni i negatywni znów zamienią się miejscami” – cokolwiek by to miało znaczyć...

W swojej sieciowej autobiografii Malinowska szeroko rozpisuje się o tym, kiedy, jak i dlaczego zaczęła tworzyć, nic zaś nie wspomina o młodzieńczych (a może raczej dziecięcych) lekturach i literackich fascynacjach. Przyznaje się do luk w czytelnictwie i wręcz chwali się, że odmienność jednej ze swoich głównych bohaterek, Tatiany z „Na przekór zasadom”, zawdzięcza faktowi, iż nie czytała powieści Olgi Gromyko, z którą czytelniczki porównywali jej utwór. Tym niemniej w sieci sporo mówi się o wtórności jej pomysłów, zaś sam „Taniec nad przepaścią” zawiera czerpane aluzje do światowej fantasty, że wspomnę chociażby znaną z „Ziemiomorza” zasadę utajonych „prawdziwych imion” (poznanie imienia daje władzę nad tym, który je nosi) lub kojarzącą się z „Harrym Potterem” Akademię Magii (spotkałam się nawet z recenzją, porównującą – na korzyść! – bohaterkę „Tańca...” Ewelinę do Hermiony Granger).

Dlaczego rozpisuję się tak szeroko o „okolicznościach przyrody”? Ano dlatego, żeby uzmysłowić zarówno czytającym te słowa, jak i sobie, że „Taniec nad przepaścią” bynajmniej nie jest debiutem. Owszem, autorka jest młodzieńką, ale napisała (żeby nie rzec – natłukła) już dobrych kilka tysięcy stron prozy określanej jako „przygodowa fantasty”. Stron wydrukowanych, bo w sieci jest tego jeszcze więcej. Niestety, ilość nie przeszła w jakość. Fabuła powieści jest oklepana, a warsztat pisarski odpowiedni raczej dla uczestników Warsztatów Fahrenheita niż tłumaczonej na języki obce (no dobra, na razie na jeden język obcy...) powieściopisarki. Przeładowanie trywialnymi i wyświechtanymi określeniami, nagromadzenie przymiotników i przysłówków, schematyczność całych zdań – po kilkudziesięciu stronach lektury zaczęłam zastanawiać się, czy nie jest to aby parodia gatunku. Później doszłam do wniosku, że mnożeniem określeń Autorka chce załatwić wszystko, od opisów krajobrazu po charakterystyki „psychologiczne” bohaterów. Narracja jest prowadzona w trzeciej osobie, skupiając się głównie na relacjonowaniu zewnętrznej warstwy zdarzeń. Nieliczne próby przekazania przeżyć wewnętrznych są mało wiarygodne i potęgują



odbiór postaci jako teatralnie wręcz sztucznych i pozbawionych głębi, a czasem też konsekwencji. Nie są to bohaterowie, których można zrozumieć (o utożsamieniu się nie wspominając), i to wcale nie z powodu fantastycznego sztafażu. Na próbę wyobraziłam sobie zastosowanie narracji z pozycji Eweliny, bogatszej o jej subiektywny odbiór sytuacji, ale wtedy natychmiast posypałaby się fabuła, w całości oparta na skrótach, uproszczeniach i mocno naciąganej logice.

Książka jest pełna nielogiczności i sprzeczności, Autorka zdaje się zapominać, co napisała chwilę wcześniej, wychodzą jej więc „kwiatki” w rodzaju osoby jednocześnie wesołej i rozpaczliwie krzyczącej, rzadko stosowanego pospolitego rytuału, czy też monety padającej z brzękiem w błoto. Wierzenia religijne są pozbawione konsekwencji i naginane do potrzeb chwili, tak samo jak pełniące zasadniczą rolę w fabule historia i zwyczaj Pierwszych Rodów. Jeśli Najwyżsi Magowie żyją tysiącleciami nie starzejąc się – to czemu we wszystkich Pięciu Rodach jest przy życiu tylko ostatnie pokolenie, zamiast gigantycznego wielopokoleniowego tłumu? Do tego dochodzi napędzająca akcją kłątwa sprzed piętnastu pokoleń, która może zresztą wcale nie miała miejsca, skoro jedynym świadkiem był zabójca, a jak rzeczce jeden z bohaterów: „kroniki piszą zwycięzcy”. Ciekawe też, skąd Wysoki Mag z Roknaru zna Orwella?

Dwa akapity wcześniej przywołałam „Harry’ego Pottera”. Nieprzypadkowo, bo powierzchowne streszczenie początku obu powieści ma wiele wspólnego. Nielubiana i wyszydzana przez otoczenie sierota o niezwykłych talentach magicznych nagle dowiaduje się, kim naprawdę byli jej rodzice, a następnie zyskuje zarówno wysoko postawionych obrońców, którzy umożliwiają jej wymarzoną naukę magii, jak i równie potężnego i tajemniczego prześladowcę. Ale na tym podobieństwa się kończą. Do Harry’ego czułam zdecydowaną sympatię; Ewelinę trudno polubić, jak każdą osobę o nieprzewidywalnych reakcjach i zmiennych nastrojach, oscylującą wciąż między pokorą a buntem. Bohaterka zdaje się jedynie reagować na wydarzenia, bez jakiegokolwiek własnej refleksji o otaczającym ją świecie i ludziach (wyjąwszy sytuacje niosące fizyczny ból lub zagrożenie życia). Zastanawiający obrazek prezentuje zresztą sama Akademia Magii. Drakońskie reguły posłuszeństwa, bezlitosne ćwiczenia ciała i walki na miecze tworzą atmosferę, której bliżej do klasztoru Shaolin niż do Hogwartu. System kar jest godny średniowiecza (karcer, chłosta, loch ze szcurami), a plan zajęć równie mglisty, co bezsensowny. Autorka wyraźnie nie ma pomysłu na szczegółową rozpiskę, wspomina bowiem bardzo ogólnie o magii żywiołów na różnych poziomach zaawansowania. Ukoronowaniem nonsensu jest tajemniczy rytuał inicjacji, podczas którego okazuje się, że nie można zostać napełnionym mocą Magiem, zanim... ech, szkoda gadać!

Kontakt z dziełem Eleny Malinowskiej stanowił pewne wyzwanie dla tłumacza. Język rosyjski lepiej znosi krótkie, jakby pouncinane, zdania – niestety, po polsku czyta się je chwilami trudno, potykając się o kropki tam, gdzie aż by się prosiło wstawić przecinek i pociągnąć myśl dalej. Na wyświechtane określenia tłumacz nic raczej nie poradzi nie pisząc książki od nowa, ale pilnowanie adekwatności przekładu do powieściowych realiów byłoby bardzo wskazane. W fantastycznym świecie, wyposażonym w panteon składający się ze stadka żywiołów, rodzeństwa czwórki Bogów i Losu, zgrzyta nazywanie chrztem obrzędu nadania imienia albo opisywanie głuchej prowincji jako miejsca, „gdzie diabeł mówi dobranoc”. W tekście jest sporo mniej i bardziej istotnych nieścisłości znaczeniowych, swoje dołożył też fałszywy przyjaciel, na przykład zmieniając koszulę flanelową w bajeczną. *Jeszcze nie wieczer* to zaś bynajmniej nie komunikat o porze dnia, ale... idiom oznaczający, że sytuacja może jeszcze ulec zmianie. To popularne powiedzonko można odnieść zarówno do perypetii życiowych Eweliny, jak i – mam nadzieję – poziomu pisarstwa Eleny Malinowskiej.

*literatura wagonowa w dosłownym i najlepszym znaczeniu tego słowa*

## KOT, Z KTÓRYM WARTO SIĘ ZAPOZNAĆ

Klasyczny kryminał jest jednym z najpopularniejszych gatunków literatury rozrywkowej. Stworzony przez, będącego przede wszystkim mistrzem horroru, Edgara Allana Poe; do gatunkowej klarowności doprowadzony przez Artura Conan Doyle'a; rozwijany i wzbogacany przez pisarzy angielskich, amerykańskich, francuskich. Paru polskich twórców – z niezapomnianym Joe Alexem na czele – też dorzuciło swoje cegiełki. Kryminał nie należy gatunkowo mylić z utworem sensacyjnym, gdzie najważniejsze jest nie tyle rozwiązanie zagadki, co ekstremalne perypetie bohaterów. Mimo ogromnej popularności jako gatunku – pojedyncza powieść kryminalna jest zwykle czytadłem jednorazowym, raczej nie sięgniemy do niej powtórnie wiedząc, kto zabił (wyjątkiem mogą być jedynie utwory ambitniejsze, w rodzaju najlepszych osiągnięć „czarnego kryminału”).

Osobiście nie jestem jakimś wielkim fanem literackich kryminałów; podobnie jak w przypadku sensacji czy horroru – wolę je raczej w wersji filmowej. Ale co jakiś czas zdarza mi się sięgnąć po powieści czy opowiadania spod tego znaku. No, i od szczenięcych lat bardzo lubię Sherlocka Holmesa (utwory Conan Doyle'a wciąż są żywe i mają niepowtarzalny klimat – w przeciwieństwie do większości, zwykle sztampowo naiwnych niestety, filmowych przygód najśłynniejszego z detektywów).

Niedawno, gdy na Chłopskiej redagowaliśmy kolejny numer „Informatora”, zwróciłem uwagę na książkę czytaną przez panią domu. Zainteresowało mnie słowo „kot” w tytule – jako że koty to moje ulubione zwierzęta i niechybnie można mnie uznać za stuprocentowego „kociarza”. W ten przypadkowy zupełnie sposób dowiedziałem się o, wydawanym właśnie w Polsce, kryminalnym cyklu Lilian Jackson Braun „Kot który...”. Zachęcony entuzjastycznymi wypowiedziami obojga gospodarzy pożyczylem od nich trzy pierwsze tomy. Pochłonałem je w pociągu podczas delegacji na drugi kraniec Polski. Teraz konsekwentnie pożyczam następne i sukcesywnie czytam je podczas mych licznych wyjazdów w różne strony; zwykle jedna książka starcza mi na podróż w jedną stronę (liczą one po niecałych dwieście stron). Jednak ta „literatura wagonowa” dostarcza rozrywki w naprawdę przepysznym wydaniu!

Dołączam się więc do pełnych zapału i zachęty słów Mamy Kaczki i Papiera.

Akcja powieści toczy się na Środkowym Zachodzie USA, w którymś ze stanów graniczącym z Kanadą. Sądząc po opisywanych realiach, m.in. technicznych, czas akcji to chyba lata sześćdziesiąte lub siedemdziesiąte (ciągle dziwnie dodaje się słowa: ubiegłego wieku). Bohaterem jest były dziennikarz śledczy, który popadł w życiowe tarapaty – i teraz stara się powoli odbudowywać swoje życie zawodowe (i nie tylko). Początkowo trafia do dużego miasta, potem los rzuca go na totalną prowincję. Znów pracuje gazecie, jednak otrzymuje rubryki dalekie od swoich zainteresowań i swojego temperamentu. A to ma recenzować miejskie galerie sztuki, a to pisać o lokalnych dekoratorach wnętrz, a to o rynku antycznych staroci; nawet rubryka kulinarna (jest zadeklarowanym smakoszem!) zostaje mu zlecona wtedy, gdy... właśnie postanowił przejść na dietę. Jednak instynkt łowcy go nie zawodzi – i w każdym z poznawanych właśnie środowisk trafia na ślad niedawnej zbrodni lub zapomnianej zagadki kryminalnej. Potem, już na prowincji, wyciąga na światło dzienne rozmaite draństwa będące mrocznymi tajemnicami z pozoru idealnej i bezkonfliktowej społeczności (nikt nie zamyka drzwi wychodząc z domu), których nikt przed nim nie chciał w ogóle ruszyć – by nie skompromitować szanowanego powszechnie przyjaciela lub na zasadzie „każdy z nas o każdym wie zbyt dużo, byśmy skłócić mogli się bezkarnie” (jak śpiewał o nowych polskich realiach, w innym zupełnie kontekście, Jacek Kaczmarski).



Na okładkach książek wydrukowany jest slogan „Największy hit od czasów Agaty Christie”. Zawsze mam sporą rezerwę do tego typu haseł reklamowych – jednak opisywane intrygi skonstruowane są naprawdę pomysłowo i z autentycznym wdziękiem. Przy swoich walorach sensacyjnych – powieści te posiadają też bowiem kapitalnie zarysowane tło: najrozmaitsze postacie i sytuacje tzw. drugiego planu. Trudno oczywiście by tu mówić o jakiejś głębi psychologicznej; ale o świetnej historii obyczajowej powiedzieć można na pewno. Dlatego, choć każda powieść stanowi jako kryminał odrębną całość, warto czytać te tomy w chronologicznej kolejności (na grzbietach są numery) – wtedy wyraźniej odbiera się owo tło obyczajowe, gdyż w tej warstwie opowieść jest zdecydowanie jedną całością. Nie bez znaczenia jest też wysmienity humor: autorka dobrotliwie dworuje sobie z najrozmaitszych wielkomięjskich i małomiatieczkowych snobizmów. Frajdę z lektury mogą mieć też konesery wyrafinowanej kuchni; okazuje się, że nie wszyscy Amerykanie żywią się paskudztwami z fast-foodów – nasz bohater, nawet będąc w kłopotach finansowych, jada regularnie w najróżniejszych restauracjach (czytałem kiedyś, że przed wojną przeciętnego polskiego urzędnika stać było, bez odczuwalnego uszczerbku, na codzienne stołowanie się w przeciętnej restauracji).

Ktoś powie: no dobrze – ale gdzie kot w tym wszystkim?

Jest. I to syjamski. Nasz bohater wchodzi w jego posiadanie w pierwszym tomie cyklu. Kot ów potrafi nie tylko wskoczyć z pozycji siedzącej na szafę (miałem w domu kilka syjamów – więc wiem, że to dla tej arcyrasy żaden wysiłek), ale również... pomaga swemu panu rozwiązywać zagadki kryminalne i nieraz ratuje go z opresji. Nie jest to zresztą napisane w konwencji jednoznacznie fantastycznej, ale raczej w stylu „na dwoje babka wróżyła”: na przykład kot uparcie bawi się przedmiotem, który okaże się dowodem w sprawie albo oplątuje sprzęty włóczęką, w którą w ciemnościach zaplącze się morderca. Wielbicielom kotów dodam zresztą, że od drugiego tomu kot Koko ma również syjamską towarzyszkę Yum Yum (nie posiadającą jednak jego detektywistycznych zdolności). Oba te zwierzaki nieustannie płatają swemu panu także tysiące najwzajemniejszych kocich figli.

Cykl powieści Lilian Jackson Braun liczy około trzydziestu pozycji (ja nie dotarłem jeszcze nawet do połowy). Tytuł każdego z tomów zaczyna się od słów: „Kot który” – po czym następuje rozwinięcie zdania, np. „lubił Brahmsa”. Książki te nie są chyba dystrybuowane w księgarniach; na pewno dostępne w prenumeracie (jej warunki podane są na ostatnich stronach każdego egzemplarza) i zapewne w bibliotekach (chyba nie przegapiono takiego rozrywkowego hitu). Przy metryczce każdej książki są też podane namiary na wydawnictwo Elipsa. Na pewno też wystarczy wpisać do wyszukiwarki internetowej imię i nazwisko autorki, by dotrzeć do wszystkich niezbędnych informacji... Miłej lektury!

*PiPiDżej*



## PÓLKA Z DVD



## O JEDNĄ APOKALIPSEĘ ZA WIELE!?

Wyobraźmy sobie następujący schemat fabularny. Plemię myśliwych zostaje napadnięte przez dobrze uzbrojony oddział łowców niewolników. Porywają oni większość mieszkańców wioski i ruszają z nimi w długą podróż powrotną. Docierają wreszcie do centrum wysoko rozwiniętej cywilizacji budowniczych piramid. Niewolnicy wzniecają bunt: jedni giną, inni szczęśliwie wracają do domu. Cywilizacji natomiast grozi rychły upadek. Koniec.

Według powyższego schematu nakręcono aż dwa różne filmy: „Apocalypto” Mela Gibsona (2006) oraz „10,000 B.C.” Rolanda Emmericha (2008). Kto od kogo ściągnął – widać raczej gołym okiem; choć Emmerich twierdzi, że już dawno chciał nakręcić ten film, tylko wcześniej technika efektów specjalnych nie była odpowiednio rozwinięta (no, powiedzmy). Oczywiście filmy nie są identyczne: „Apocalypto” opowiada o cywilizacji Majów tuż przed przybyciem Europejczyków, a „10,000 B.C.” o cywilizacji Egiptu tuż po zakończeniu ostatniej epoki lodowcowej. Poza tym drugi film nawiązuje wyraźnie tytułem do klasyka „Milion lat przed naszą erą” („One Million Years B.C.” – 1940 i 1966) – i jak on traktuje prehistorię nadzwyczaj swobodnie. Widzimy na przykład piramidy w Gizie budowane 12 tysięcy lat temu przy pomocy pochylni, niewolników oraz – uwaga – mamuty. Wygląda to całkiem fajnie i jest podbudowane autorytetem niezależnego badacza Grahama Hancocka, konsultanta filmu.

Nie będę zatrzymywał się nad różnicami w fabule i realizacji. Wspomnę tylko o „fantastyczności” obu obrazów. Bije ona w oczy u Emmericha, ale jest jakoś „zwyczajna” i „swojska”. Natomiast film Gibsona, zrealizowany z dużą dbałością o prawdę historyczną, poraża obcością ukazanej dekadencjonalnej kultury, pochodzącej jakby z innej planety. Egipt sprzed 12 tysięcy lat, rządzony przez króla-boga (kosmitę?), nie sprawia, o dziwo, takiego wrażenia.

*Andrzej Prószyński*



APOCALYPTO (2006)

Tytuł oryginalny: APOCALYPTO

Gatunek: przygodowy

Scenariusz i reżyseria: Mel Gibson

Obsada: Rudy Youngblood, Dalia Hernandez, Jonathan Brewer

Data premiery DVD: 2007-07-26

Czas trwania: 139 min.

10,000 B.C.: PREHISTORYCZNA LEGENDA (2008)

Tytuł oryginalny: 10,000 B.C.

Gatunek: przygodowy

Scenariusz i reżyseria: Roland Emmerich

Obsada: Steven Strait, Camilla Belle, Cliff Curtis, Tim Barlow

Data premiery DVD: 2008-08-07

Czas trwania: 109 min.



## Impresje filmowe (2)

Kiedy po raz pierwszy oglądałem *Hero*, na początku miałem ochotę wyjść z kina. I nie chodziło tylko o absurd wyświetlania w Polsce chińskiego filmu z angielskim tytułem. Napieprzanie się latających wojowników wymachujących białą bronią i wydających dziwne okrzyki, myślałem, było dobre w *Przyczajonym tygrysie, ukrytym smoku* (który, nawiasem mówiąc, mam do dziś za świetne *love story*), gdy europejski widz nie był jeszcze zaznajomiony z chińską konwencją filmów Wutan; teraz natomiast wiemy już, że jest to niekoniernie oryginalne. Później zrozumiałem, że tak naprawdę nie o to chodzi; oglądając kolejne sceny doszedłem do wniosku, że *Hero* to balet, a najważniejsze są w nim piękne zdjęcia i scenografia. Jednak dopiero niedawno, odświeżając go sobie na małym ekranie, zwróciłem uwagę na przesłanie dydaktyczne, które wówczas umknęło mi w natłoku wizualnych wrażeń. Bez niego nie byłoby pewnie ani zdjęć, ani gwiazdorskiej obsady, ani w ogóle całego filmu, który doskonale wpisuje się w bieżące potrzeby polityczne władz chińskich. Asasyni nasyłani na przyszłego założyciela pierwszej dynastii chińskiej rezygnują porażeni jego dalekowzrocznością; na pierwszy rzut oka wrogi król zdaje się być tyranem, który bezwzględnie podbija sąsiednie państwa, tymczasem tak naprawdę chodzi mu o porządek. O zjednoczenie poprzez podbój. W imię wyższego dobra. O to, że Ujgurowie, Tybetańczycy i Chińczycy z Tajwanu nie mają moralnego prawa myśleć o niezależności od opiekuńczej Chińskiej Republiki Ludowej. Budujące, trzeba przyznać. I dalekowzroczne.

**Quantum of Solace** (czy nie można było przetłumaczyć tytułu, np. jako *Odrobina otuchy?*) odebrałem dość podobnie, jak remake *Casino Royale*. Podoba mi się nowa wizja agenta 007 „z ludzką twarzą” i kreacja Daniela Craiga (choć słyszałem, że ma zbyt małe pośladki jak na amanta i playboya – nie mnie to jednak oceniać). Podoba mi się również to, że nowa – powiedzmy – kochanica Bonda nie ma w sobie nic z nieporadnej, głuptutkiej piękności, jakich pełno snuje się po ekranie w poprzednich częściach. Bond z zamiarem zemsty ściga zabójców Vesper od Florencji po Amerykę Południową, przybliżając się do odkrycia wierzchołki kolejnej przestępczej organizacji, pod dobroczynnym przykryciem knującej spisek mający na celu zawładnięcie wielką kasą kosztem biednych ludzi. Wszystko to zrealizowane jak zwykle bardzo sprawnie, z wielkim rozmachem i odpowiednią ilością efektów specjalnych, a historii dodaje wiarygodności osobiste zaangażowanie Bonda. Dla śledzących *product placement* (ja nie śledzę, ale uprzedziła mnie o tym moja oburzona obrazoburstwem druga połowa), Bond faktycznie jeździ fiatem, ale tylko przez chwilę i jako pasażer. Aston martin natomiast (straszliwie maltretowany) pojawia się w pierwszej scenie. Kolejny film ma być zwieńczeniem mini-trylogii, tzn. kontynuacją *Casino Royale* i *Quantum of Solace*.

**Indiana Jones i królestwo kryształowej czaszki** nie zrobił na mnie nadzwyczajnego wrażenia. Wprawdzie Harrison Ford mimo swego wieku jest nadal w niezłej formie, ale jest to jednak film nieco inny od poprzednich. Rolę złoczyńców przejęli od nazistów radzieccy komuniści, ale nie o to chodzi; nieco za dużo w nim pościgów służących samym pościgom, akcji dla akcji i efektów specjalnych, których jedynym celem jest popisanie się efektami. Kosmici moim zdaniem mogą być (nie zdradzam tu przesadnie wiele, ponieważ o ich istnieniu dowiadujemy się już w pierwszej scenie), natomiast sceny akcji jak dla mnie zbyt przystają komedię kryminalno-przygodową. Może idealizuję dawnego Indy’ego (w końcu tam też roiło się od efekciarskich scen), ale „Królestwo kryształowej czaszki” wydaje mi się dobrym, sprawnie zrealizowanym filmem jednorazowym, do którego nie odczuwam potrzeby wracać.

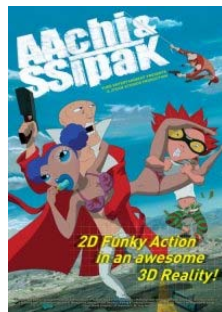
## Rozterki bohaterki poświęcającej swój odbył dla ludzkości

*Nie, nie, to nic zdrożnego – po prostu tytuł, żeby przyciągnąć Waszą uwagę. Ta nowa samozwańcza minirubryczka jest poświęcona mniej znanym filmom z pogranicza fantastyki.*

Dzisiaj:

*Aachi and Ssipak. Reż. Jo Beom-jin. Korea 2006. Animacja.*

Przyszłość rodzaju ludzkiego nie wygląda różowo. Jedyne, z czego ludzkość może pozyskiwać zasoby energii, to własne, za przeproszeniem, odchody. W związku z tym powstaje nowa hierarchia społeczna: lepszy obywatel – to obywatel, który dostarcza więcej energii. W takim tle historiozoficzno-społecznym rozgrywa się akcja tej świetnej cyberpunkowej animacji. Jestem pewien, że wysoka oryginalność tego obrazu zagwarantuje mu niezatarte miejsce w Waszej pamięci. Nie zdradzając więcej szczegółów akcji, proszę tylko o jedno: zwróćcie uwagę na ciekawą wariację wątku „smerfiego”. Dość odważną jak na konfrontację z klasykiem.



Pozdrawiam i do usłyszenia –

MLW



## Z EGIPTU DO CHIN

**Tytuł:** The Mummy: Tomb of the Dragon Emperor

**Produkcja:** USA, 2008

**Gatunek:** Przygodowy

**Dyrekcja:** Rob Cohen

**Za udział wzięli:** Jet Li, Michelle Yeoh, Brendan Fraser, Maria Bello

**O co chodzi:** Rick O'Connell musi zwalczyć kolejną mumię, tym razem chińską

**Jakie to jest:** Powiem tak: „Mumia” (1 i 2) to dla mnie jedne z najlepszych głupawych filmów akcji w historii. Zwłaszcza część druga wspięła się na szczyty popcornowego funu z fajnymi postaciami, nawet śmieszny dialogami i przegiętymi scenami. Do tego The Rock i całkiem ciekawa fabuła – gdybym dziś ją recenzował, dostałaby od ręki 5. Rozumiem, że film jest durny, efekty nie zawsze na poziomie, a całość jest „Indianą Bardzo Light” dla młodego i niewymagającego widza – ale ogląda się to świetnie. No, ale to „Mumia 2”.

„Mumia 3” to kompletnie inna historia.

Po Stephenie Sommersie, który odjechał do kraju wolności „G.I. Joe”, trzeci odcinek dano do zrobienia Robowi Cohenowi. Mogłoby się to wydawać decyzją trafną, wazwyszy jego dotychczasowy styl (podobnie jak początkowo wydawało się świetnym

pomysłem, aby Joel Schumacher robił „Batmana”). Scenariusz tym razem też pisał nowy team, starając się wpisać w schemat utarty w sommersowych filmach. Niestety, wszelkie próby ujednolicenia filmu z poprzednikami totalnie spaliły na panewce. Przepraszam, ale od razu nasuwa mi się tu nerdowska analogia z serią gierek Eye of the Beholder – pierwsze dwie części robione przez Westwooda były świetne i doskonale spawane ze sobą. Część trzecia dorobiona samodzielnie przez SSI próbowała nieudolnie naśladować poprzedników i była katastrofalna. Wydawać by się



mogło, że styl filmowy Sommersa, acz sprawny, jest dość łatwy do adaptacji, zwłaszcza przez nie mniej sprawnego reżysera „Fast and Furious” – a tu taka niespodzianka.

Film bardzo SILI SIĘ, aby być kolejną „Mumią” – zapodaje więc na siłę śmieszne teksty, nowych niby-bohaterów, sceny kle-

pania, bitwę, dużo CGI i oczywiście samą mumię. Tym razem gra ją (co nie oznacza, że osobiście spędza dużo czasu na ekranie) podstarzały i dobrze odżywiony Jet Li. Dawno dawno temu Jet Li był cesarzem Chin, zbudował wielki mur i generalnie był okrutny. Zatem wróżka Michelle Yeoh obłożyła go klątwą, w wyniku której zamienił się w czekoladę i przykiblował w grobowcu wraz ze swoją armią (również czekoladową) do lat '40.

Jak już wiemy z trailera – grobowiec odnajduje Alex (syn Ricka, aktualnie już pełnoletni). W wyniku pożalowania godnego ciągu zdarzeń mumią Jeta Li ożywa i odjeżdża w siną dal, aby zdobyć nieśmiertelność i władzę nad światem. W tej wartej uznania wyprawie towarzyszy jej chińskie komando ze złą laską, a przeszkodzić chcą Rick, Eve (Maria Bello gadająca głosem zdezerterowanej Rachel Weisz), Alex i Jonathan. Im z kolei pomagają dwie Chinki – jedna stara (wróżka Yeoh), druga młoda (imienia zapomniałem).

Fabularnie zatem jeszcze nie ma szoku – story wpasowuje się w sagę. Za to wykonanie po prostu woła o pomstę do nieba. Dialogi są suche, za długie i zmontowane w sposób rozlazły – prawie jakby zostawiano miejsce na śmiech publiczności, który nigdy nie miał nadejść. I to jest coś okropnego, bo dialogi były jedną z podstaw M1 i M2 – tam nawet mały chłopczyk miał fajne teksty. Co prawda Fraser i John Hannah starają się jak mogą, by ich postaci przypominały te znane z poprzednich odcinków – ale teksty, które im się wsadza do gęby, nie pozwalają na to. Dialogi są albo nieśmieszne, albo przerażająco infantylne. A każdy dwa razy za długi. Generalnie wszystkie sensowne teksty były w trailerach, ale te same wypowiedzi w filmie z jakiegoś powodu już nie śmieszą. Polski dystrybutor zadbał o to, by jedyny dobry tekst, który leci na samym końcu filmu, wyjaśnić rodzimym głębiom stosownym napisem, dzięki czemu zalicza niniejszym punkty buractwa.



Druga osobliwość to zdjęcia. „Mumią” powinna być jaskrawa i kolorowa, a nie dołująco stonowana, jak to wymyślił Cohen. W filmie oczywiście nie brakuje scen akcji, ale są one kręcone w strasznie ciasnym kadrze – co jest absurdem biorąc pod uwagę poprzedników. O dziwo Sommers potrafił nakręcić na szerokim planie walkę w wykonaniu aktorów, którzy nie umieją się bić; Cohen zaś nakręcił Jeta Li (który umie się bić) na maksymalnych zbliżeniach – jako płataninę rąk i nóg, którą mógł zagrać każdy. Lekko wkurzające jest też kręcenie wszystkiego co się da i nie da z łapy (np. zbliżeń przy dialogach), no ale to widocznie taka moda.

Bardzo ciekawe są dodatkowe postacie – tajemnicza Chinka, która płynnie przechodzi od żądz mordy do wielkiej miłości, super pilot, przy którym Murzyn z dwójki to Obywatel Kane, chińscy źli oficerowie (obojga poci), którzy głównie krzyczą albo milczą. Jeśli kogoś język świerzbi, żeby porównać mundurową Chinkę do Spałko,



może już sobie dać spokój (przez większość filmu nie wiadomo, czy ona właściwie żyje, czy nie – taka z niej barwna postać). Do tego nowa Eve, która najwyraźniej przeszła operację nie tylko plastyczną, ale i lobotomię oraz sam Alex, który Muttowi Williamsowi do pięt nie dorasta. W ogóle, skoro już o tym mowa, to cały motyw rodzinny w filmie

zalatuje tak biedną rozwodnioną wersją tego (również zenującego) z „Indiany”, że nie wiem! Natomiast z Jeta Li taka mumia jak ze mnie – daleko mu do groźnych min i tortur zadawanych przez Imhotepa. Generalnie zresztą włości się on głównie po odludziach i mało komu zagraża.

Z innych atrakcji: mamy krótką wizytę w Shangri-La w formie jednego kadru, lawinę i tradycyjne zwiedzanie pełnych pułapek mauzoleów. Do tego bardzo plastikowy pościg ulicami chyba-Szanghaju (nie umywający się ani do tych z „Mumii”, ani z „Indiany”) oraz liczne strzelaniny – zresztą ta przy wejściu do Shangri-La jest skręcona całkiem przyzwoicie. Nie zapomnijmy też o zabawnych dowcipach o rzyganiu jaków.

Efekty jak to w „Mumiach” – jedno lepsze, drugie gorsze, obu dużo. Fajnie zenujące są Yeti, a jaki smok jest – każdy widział w trailerze, „Wiedźmie” nisko się kłania. Z tego wszystkiego technicznie najlepiej wypadła bitwa, aczkolwiek była ona za długa i za nudna. Muza chyba jakaś jest, ale nie usłyszałem chwytliwych motywów z dwóch pierwszych części.

Dawno nie widziałem filmu zrobionego tak totalnie bez polotu – najwyraźniej Cohen, starając się naśladować poprzednika, zrobił „Mumię” gorszą, niż jakby ją miał wymyślić od zera. Koleś po prostu zmasakrował jeden z moich ulubionych cykli – i to najwyraźniej bez złej woli, tylko poprzez pospolitą nieudolność. Boli niczym „Robocop 3”.



### **Ocena (1-5):**

**Dialogi:** 2

**Postacie:** 2

**Efekty:** 4

**Fajność:** 2

**Cytat:** Sorry pal, there's a mummy on the loose.

**Ciekawostka przyrodnicza:** Pierwszy news na nowej Zakazanej Planecie dotyczył właśnie „Mumii 3”!

**Commander John J. Adams**

[[www.zakazanaplaneta.pl](http://www.zakazanaplaneta.pl)]

[tytuł od redakcji INFO]

# NIEMIECKA ELEKTROWNIA W KRAKOWSKIEJ HUCIE

Tegoroczna, szósta już, edycja krakowskiego festiwalu Sacrum Profanum poświęcona była muzyce niemieckiej, a w szczególności wybitnemu kompozytorowi muzyki konkretnej Karlheinzowi Stockhausenowi. Z tej okazji na trzy koncerty przybyła do Krakowa legendarna niemiecka grupa Kraftwerk, jeden z najznamienszych zespołów grających muzykę elektroniczną. Kraftwerk (w wolnym tłumaczeniu: elektrownia) bywa często nazywany prekursorem techno, co – moim zdaniem – jest pewnym nadużyciem. Muzycy z Düsseldorfu są z całą pewnością twórcami oryginalnego stylu w obrębie muzyki elektronicznej, a jego wyznaczniki – mocne zrytmizowanie utworów, łatwo wpadające w ucho melodie i proste (często o charakterze wyliczniki) teksty, nie tyle wyśpiewywane, co raczej melorecytowane – zostały przywłaszczane przez współczesną muzykę taneczną. Ale żeby od razu łączyć Kraftwerk z techno, housem czy czym tam jeszcze – to już przesada.

Zresztą początki działalności niemieckich elektroników (swoją drogą najlepsza el-muzyka jest rodem z Niemiec – czyżby dziedzictwo Bacha?) wcale nie zapowiadały utworów takich jak „Die Roboter”, „Mensch Machine”, „Computerwelt” czy chociażby „Das Model”. Jeszcze jako Organization grali typowego Kraut Rocka – czyli niemiecką odmianę rocka progresywnego, korzystając głównie z instrumentów akustycznych (flet, harmonijka ustna, perkusja) oraz elektrycznych gitar. Muzykę Kraftwerku w tamtych pionierskich czasach zwykło się także określać mianem Kosmische Rock (podobnie zresztą jak twórczość legionu niemieckich rockowych kapel z lat 70.). Z czasem Elektrycy zaczęli eksperymenty z instrumentami elektronicznymi (syntezatorami i perkusją elektroniczną zaprojektowaną przez perkusistę Wolfganga Flüra), a i sama grana przez nich muzyka także zaczęła się zmieniać. Długie suites zostały wyparte przez krótsze utwory już niekoniecznie instrumentalne, ale również z próbkami wokalnymi. Jakby jednak nie patrzeć – jedyna prawdziwa piosenka Kraftwerku to wspomniana już „Modelka”, w innych zaś rola śpiewu i tekstu jest (jak mawia Andrzej Poniedziałki) nieprzesadna. Najważniejszym dla nowego brzmienia Kraftwerku albumem był wydany 30 lat temu „Die Mensch Machine”. To właśnie ta koncepcyjna płyta pokazała zarówno nowe brzmienie Elektrowni, jak i stworzyła fundament zjawiska Kultury Kraftwerk: robotyczna, automatyczna, mechaniczna muzyka z vocoderowo przetworzonymi partiami wokalnymi, dającymi złudzenie syntetycznego robocięgo głosu. Czerwone koszule, czarne krawaty i spodnie zaprasowane w kant uzupełniały ówczesny image zespołu, który na okładce płyty zrobił sobie zdjęcie w pozie SLEM (Stalin, Lenin, Engels, Marks). No i, pojawiające się w utworze „Roboty”, wyznaczenie recytowane po rosyjsku: „ja twój sluga, ja twój robotnik” – nawiązujące wprawdzie nie wprost, ale jednak wyraźnie do Asimova.

Kraftwerk, pomimo że muzycy dysponują własnym studiem nagraniowym (Kling Klang), od wielu już lat nie wydał żadnej nowej płyty. Nieczęsto też koncertuje, a tegoroczna trasa to bodajże pierwsza od czterech lat wyprawa grupy. Przykrą niespodzianką dla fanów Elektrowni, związaną z tymi występami, było rozstanie się z zespołem jednego z założycieli – Floriania Schneidera. Wielu miłośników Kraftwerku uważa, że bez niego – to już nie ta sama grupa. Rzeczywiście z klasycznego składu zespołu pozostał już tylko Ralf Hütter, a towarzyszący mu na scenie „zastępcy” Bartosa, Flüra i Schneidera są po prostu pracownikami studia (dwóch z nich to byli dźwiękowcy, natomiast trzeci – ten który dołączył do grupy w tym roku – to specjalista od wizualizacji).

Pomimo tych wszystkich zawirowań krakowski koncert Kraftwerku (ten, na którym byłem – 20.09.) zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Nie da się go w żadnym wypadku porównać z fajerwerkowym show Jarre'a w Gdańsku. JMJ gra na uwiedzenie widza, na oślepienie i ogłuszenie go sztucznymi ogniami – by odwrócić uwagę od faktu, że wykorzystuje playbacki. Ukrywa ten swój proceder robiąc pajacyki i bez przerwy wdzięcząc się do publiczności. Roboty z Elektrowni wręcz odwrotnie. Nie próbują nawiązywać z publicznością kontaktu: nie ruszają się z miejsca i nie odzywają do publiczności, nie kryją, że większość „partytury” jest odtwarzana z pamięci notebooków, które są umieszczone na pulpitych – ale jednocześnie widać jak na dłoni pracę muzyków przesuwających potencjometry, kręcących gałami, dogrywających solówki na klawiaturach, czyli robiących to wszystko, co miłośnicy el-muzyki lubią najbardziej. I nie są to tylko pozory grania, o czym świadczą zdarzające im się pomyłki (spóźnione wejście z wokalem, zbyt późno puszczone ścieżki...). Kraftwerk gra na koncertach od wielu lat niemal ten sam repertuar, ale na każdą trasę przygotowuje odświeżone aranżacje. Utwory znane z płyt zabrzmiały w nieczynnej hali ocynowni byłej Huty im. Lenina (potem Sendzimira, a obecnie Arcelor Mittal Poland) niezwykle i potężnie, a już „Radioactivity” (zamienione kilka lat temu w antynuklearny protest-song) po prostu wgniotło wszystkich w podłogę.

Przycinając, że do czasu krakowskiego koncertu nie miałem przekonania do twórczości muzyków z Düsseldorfu. Lubiłem ją, lecz nie ceniłem. Ale wysłuchawszy Kraftwerku na żywo nie mam już wątpliwości, że jest to jedna z najlepszych elektronicznych kapel na świecie. Od czterdziestu lat grają swoje nie ulegając modom (a przytrafiło się to mojemu ulubionemu Tangerine Dream), przeciwnie – kreując je. A na koncertach wytwarzają tyle MW energii, że człowiek chodzi naładowany nią jeszcze długo.

Czy jest to muzyka ery robotycznej? Pewnie nie, ale miłośnikom fantastyki można śmiało ją polecić. Nie ma w niej już tego kosmicznego improwizowanego szaleństwa, jak na początku działalności. Dziś Elektrycy są mistrzami minimalu, wytwarzającymi tylko tyle syntetycznych dźwięków, ile potrzeba (to też odróżnia ich od muzyki produkowanej przez didżejów, którym umiaru właśnie brakuje). W swojej oszczędnościowej twórczości wnikliwie komentują otaczającą ich rzeczywistość, krytycznie odnosząc się do niektórych aspektów postępu cywilizacji (uniformizacja, dehumanizacja, nowoczesne niewolnictwo). Potrafią jednak zachwycić się udogodnieniami, które ofiarowuje rozwój techniki (bez niego zresztą nie mogliby funkcjonować), a także prostymi przyjemnościami, które niesie ze sobą życie (podróż samochodem po autostradzie czy transeuropejskim ekspresem). W tym właśnie konglomeracie znaczeń najłatwiej dostrzec podobieństwa twórczości Kraftwerku do fantastyki bliskiego zasięgu. Ale muzyka Elektrowni broni się znakomicie sama i nie potrzebuje żadnego usprawiedliwienia. Kto z Was jeszcze jej nie zna – niech natychmiast nadrobi zaległości. Naprawdę warto!

*grzeszcz*

ps.  
Rok 2008 dla fanów muzyki elektronicznej w Polsce był naprawdę niesamowity. Tydzień po wrześniowych koncertach Kraftwerku odbył się w Chorzowie elfestiwal organizowany przez Józefa Skrzeka, na którym wystąpił m.in. Steve Schroyder (ex-Tangerine Dream). W listopadzie w Warszawie zagrał sam Klaus Schulze w towarzystwie Lisy Gerrard, a w grudniu wystąpił w stolicy Jean Michel Jarre.





## WYPRAWA TRZECIA

4

## SZLAKIEM KATARÓW

## 19 sierpnia ANDORA

Z Carcassone do Andory jest zaledwie 150 km, ale szosa jest kręta, wiedzie stromo do góry, a i ruch znaczny. Do przejścia granicznego stoi długa kolejka pojazdów (Andora nie należy do UE). Na szczęście Andorczycy nie przejmują się kontrolą celną i graniczną – wpuszczają wszystkich jak leci. Większość przyjezdnych to Francuzi, którzy zatrzymują się tuż za granicą, w mieście handlowym Pas de la Casa.

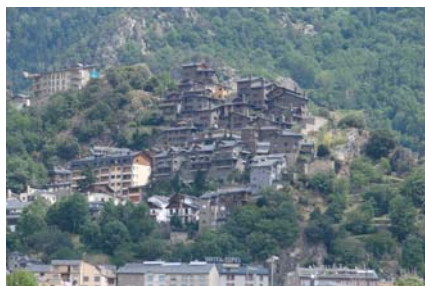


## DYGRESJA 7

**Andora, Księstwo Andory** (katal. Principat d'Andorra, hiszp. Principado de Andorra, franc. Principauté d'Andorre) – małe państwo w południowo-zachodniej Europie, bez dostępu do morza. Leży w Pirenejach granicząc od północy z Francją, a od południa z Hiszpanią. Ma powierzchnię 462 km<sup>2</sup>.

Andora jest monarchią konstytucyjną. Funkcję głowy państwa pełnią współksiężęta: francuski (prezydent Francji) i episkopalny (biskup La Seu d'Urgell, Hiszpania). Organem ustawodawczym jest Rada Generalna, składająca się z 28 członków wybieranych w wyborach powszechnych.

Językiem urzędowym jest kataloński, choć mówi się także po hiszpańsku i francusku. Andora ma 83 000 mieszkańców, z czego 48% to rodowici Andorczycy. Głównym zajęciem mieszkańców jest obsługa ruchu turystycznego, handel i praca w szybko rozwijającej się bankowości. Dzięki korzystnym prawom fiskalnym i celnym, Andora ma opinię rajy podatkowego i zakupowego.



My jedziemy do stolicy księstwa. To jeszcze kilkadziesiąt kilometrów serpentynami. Po drodze kurorty narciarskie, wyciągi, liczne kolejki górskie i czterogwiazdkowe hotele. Doliny wąskie, więc zabudowa wspina się wysoko po zboczach.

Miasto Andorra la Vella wita nas wspaniałą pogodą. Dzielimy się na grupy i ruszamy na łowy. Wszystko znacznie tańsze niż w Polsce i Francji. Ela (z racji swego zawodu) interesuje się perfumami i nie przepuszcza żadnej perfumerii. Ania jej dzielnie sekunduje, a Jarek i ja mamy tego już serdecznie dosyć. Oddzielamy się od dziewczyn i buszujemy w domu handlowym, czyniąc wiele poważnych zakupów w płynie.

W końcu, o godziwej porze, jemy obiad i wracamy do autobusu. Podróż powrotna trwa nieco krócej, bo jedziemy tunelem, oszczędzającym nam wspinaczkę serpentynami. Po powrocie do hotelu – tradycyjna impreza u Eli i Jarka.

## 20 sierpnia LANGWEDOCJA

Kolejny dzień katarski – w planach zdobycie trzech zamków: Queribus, Peyrepertuse i Lastours (który sam stanowi 4 zamki). Oczywiście plan jest niemożliwy do zrealizowania. Wąskie, kręte szosy ograniczają prędkość do do 20-30 km na godzinę (Wojtek założył 50 km/h).

Po długiej jeździe autobusem stajemy na parkingu na przełęczy. Mamy jeszcze kilka kilometrów szosą do góry (gdzie sobie wygodnie dojeżdżają samochody osobowe) i z pół kilometra wspinaczki do samego zamku.

Tym razem moja żona maszeruje dzielnie wraz z wszystkimi (następnego dnia, w Barcelonie, będzie przeklinać Queribus, bo kontuzjowana noga odmówi kolaboracji).

Daleko, na odległym grzbiecie górskim widać następną cel – zamek Peyrepertuse.



Po kilku godzinach wracamy do autobusu i ruszamy w stronę Peyrepertuse. Jest już późne popołudnie i Wojtek (napalony na zamki Lastours) decyduje, że nie wchodzimy na zamek, tylko go obfotografujemy z dołu.

W powrotnej drodze zatrzymujemy się w przydrożnej winiarni, gdzie oferują tanie wino z własnej winnicy.

Do Lastours dojeżdżamy pod wieczór. Nie ma sensu drapać się na skały – więc odpuszczamy sobie na dzisiaj.

Robimy mały odpoczynek nad rzeczką. Marek (mąż słynnej Elwiry) na bosaka wchodzi do wody, zasiada na głazie i z rozkoszą moczy nogi. Aby go jeszcze bardziej uszczęśliwić zanoszę mu kubek wina.

Wracamy do hotelu, do Carcassone. Tym razem kończymy dzień w ogródku restauracji hotelowej – pijąc legalnie kupione piwo i wino.



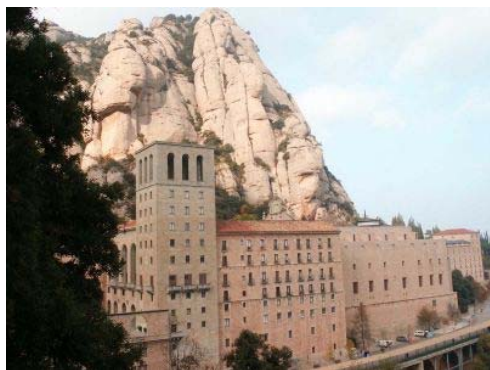
## 21 sierpnia KATALONIA

Wstajemy bladym świtem i wyruszamy w stronę granicy hiszpańskiej. Około 8-mej przekraczamy granicę i zbaczamy z autostrady w stronę Montserrat. Tak nazywa się masyw górski w Katalonii, około 40 km na północny zachód od Barcelony. Z daleka góra przypomina piłę, z zębami skierowanymi ku niebu. Najwyższy szczyt wznosi się na wysokość 1236 m n.p.m.

Na górze znajduje się klasztor benedyktynów, najświętsze miejsce Katalończyków. Serpentynami wjeżdżamy niemal na szczyty w postaci dziwnie ukształtowanych skał – podobnych do mnichów.

Klasztor został zbudowany w XI wieku, do XVI wieku był wielokrotnie przebudowany i rozbudowany. W zespole klasztornym oprócz bazyliki, w której jest przechowywana figura Madonny, znajdują się również słynna biblioteka i muzeum. W górach ponad klasztorem można trafić na grotty wydrążone w skale wapiennej, porzucone siedziby pustelników.

Klasztor jest ogromny – dziesiątki budowli sakralnych i wiele współczesnej komercji – restauracje, bary szybkiej obsługi i sklepy z pamiątkami. Wokół skał biegnie malownicza droga krzyżowa. Z dołu jadą kolejki linowe i szynowe. Innymi można wjechać wyżej na szczyty.



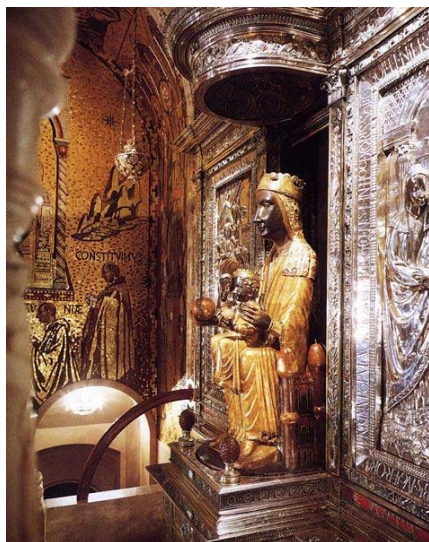
Przez plac Santa Maria wchodzimy do bogato zdobionego kościoła, w którym znajduje się słynna Czarna Madonna *La Moreneta* – patronka Katalonii. Zwykle czeka się kilka godzin w kolejce, ale my, tak wcześnie, dostajemy się od razu.

Legenda głosi, że mała drewniana figura została wyrzeźbiona przez świętego Łukasza i przywieziona do Katalonii przez świętego Piotra. Ukrywana przed Maurami, została cudownie odnaleziona w jednej z grot masywu Montserrat w IX wieku.

Datowanie węglem dowodzi, że figurka pochodzi z XII wieku.

Po dwóch godzinach ruszamy do Barcelony – stolicy Katalonii.

*Krzysztof Papierkowski*



# JAK PILOT Z MECHANIKIEM

(autentyczne wpisy do pokładowej książki technicznej)

*Pilot:* Lewa wewnętrzna opona podwozia głównego niemal wymaga wymiany.

*Mechanik:* Niemal wymieniono lewą wewnętrzną oponę podwozia głównego.

*P.:* Coś się obluźowało w kokpicie.

*M.:* Coś się umocowało w kokpicie.

*P.:* Lot próbny OK. Jedynie układ automatycznego lądowania przyziemia bardzo twardo.

*M.:* W tej maszynie nie zainstalowano układu automatycznego lądowania.

*P.:* Martwe owady na wiatrochronie.

*M.:* Zamówiono żywe.

*P.:* Autopilot w trybie „utrzymaj wysokość” obniża lot do 200 stóp na minutę.

*M.:* Problem nie do odtworzenia na ziemi.

*P.:* Ślady przecieków na prawym podwoziu górnym.

*M.:* Ślady zatarto.

*P.:* Poziom DME niewiarygodnie wysoki.

*M.:* Obniżono poziom DME do bardziej wiarygodnego poziomu.

*P.:* Mysz w kokpicie.

*M.:* Zainstalowano kota.

*P.:* Zaciski blokujące powodują unieruchomienie dźwigni przepustnic.

*M.:* Właśnie po to są.

*P.:* Układ IFF nie działa.

*M.:* Układ IFF zawsze nie działa, gdy jest wyłączony.

*P.:* Brak silnika nr 3.

*M.:* Silnik nr 3 po krótkich poszukiwaniach znaleziono na prawym skrzydle.

*P.:* Przepuszczalnie szyba wiatrochronu jest pęknięta.

*M.:* Przepuszczalnie jest to prawda.

*P.:* Samolot śmiesznie reaguje na stery.

*M.:* Samolot upomniano, by przestał i zachowywał się poważnie.

*P.:* Igła ADF nr 2 szaleje.

*M.:* Uspokojono igłę ADF nr 2.

*P.:* Samolot wznosi się jak zmęczony.

*M.:* Samolot wypoczął przez noc. Testy naziemne OK.

*P.:* 3 karaluchy w kuchni.

*M.:* 1 karaluch zabity, 1 ranny, 1 uciekł.

*P.:* Po wyłączeniu silnika słychać w kabynie jęczący odgłos.

*M.:* Usunięto pilota z kabiny.



[z Internetu]

## GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: [www.gkf.art.pl](http://www.gkf.art.pl)

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz GRAFIKA: Piotr Terszel (13)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

## INFORMATOR

# 235

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji